



GAJUSZ ZIMĄ

BEZPŁATNY KWARTALNIK
FUNDACJI GAJUSZ

04/22

25 lat

Zamiast wstępu

25 lat minęło, czyli nasz Srebrny Jubileusz

Czas jest igraszką pamięci. Ulotnej i subiektywnej, mojej. Jest tyle światów, ilu żyjących w nich ludzi. Mój zawodowy i rodzinny to Fundacja Gajusz, która właśnie obchodzi 25 urodziny. 9131 dni. Tysiące dzieci. Miłość codzienna. Nadzieja. Wdzięczność. Docenianie. Sny niespokojne i strach. Czasem panika. Próby zrobienia rzeczy niemożliwych.

Prawie 10 000 porannych kaw, przy których uśmiecham się, bo Gajusz – mój syn – żyje, jest zdrowy, kocha i jest kochany. **Dziękuję dosłownie każdego dnia za życie mojej córki i trzech synów. Za to, że są.** Bo od dawna wiem, że to nie jest oczywistość. Dzieci nie są dane na zawsze, nie ma gwarancji ani rękojmi.

Dlatego dziękuję za Basię, że na czas został rozpoznany chory wyrostek. Za Julka rozrabiakę, że nie ma już duszącej alergii i przeżył pięć wypadków. Za Gajusza, bo wyzdrowiał. Za Natanka, którego zdrowie było zagrożone przed narodzeniem.

Właściwie moja codzienność jest rodzajem litanii o zdrowie najbliższych. **Wdzięczność miesza się z lękiem.**

A wracając do pamięci i niepamięci: fundacja to dzieci, ich bliscy, **historie piękne, radosne, cudowne, smutne, bywa, że tragiczne.** I dorośli, którzy im pomagają.

To tylko wstępniak, a w mojej pamięci jest saga. A może epopeja?

Miała na imię Margarita, blond włosy, 5 lat i leukocyty na poziomie 50 000*. Była wiosna 1998 roku. **Jej mama wierzyła, że wyleczą ją chińskie zioła.** Wtedy się udało. Jednak zmarła przedwcześnie. Nie wiem, co się stało.

Później Dominika, Dominik, Julka – wszyscy zmarli. **Moje serce pękło na milion kawałków.** Rozbiłam auto, omal nie zginęłam. Nie radziłam sobie ze stresem i żalem. Trudna lekcja pokory. I jasny sygnał, że **nie mam żadnej kontroli ani nad życiem, ani nad śmiercią.**

Wtedy powstał NZOZ psychologiczny dla dzieci, rodzin, ale i dla mnie.

Patryk, którego naskórek nie łączył się ze skórą właściwą. **Trafił do nas jako niemowlę, właściwie jedna wielka rana.** Między innymi dla niego powstało hospicjum domowe.

Zuzia nie miała bezpiecznego domu. Jej mama przyjmowała różnych panów za pieniądze. Tak zapewniała byt kilkorgu dzieciom. **Dwunastolatka zachorowała, ale była tak smutna, że nie walczyła.** Nie chciało się jej już żyć. Umarła na banalną infekcję. A ja wtedy w myślach obiecałam Jej, że powstanie stacjonarne hospicjum, które da schronienie takim dzieciom jak ona.

Dotrzymałam słowa. Patryk, mój chrzestny syn, zdążył zamieszkać w Pałacu. Dostał miłość, opiekę, mamę. Był tu z nami 6 miesięcy. **Zmarł w czwartek po południu.**

Ciekawe, dlaczego najwyraźniej pamiętam smutne historie?

Pierwszym księciem, czyli mieszkańcem hospicjum stacjonarnego, był Piętaszek. **Oszukał los i medycynę.** Poznałam go w piątek, 13 września 2013 roku, w Centrum Zdrowia Matki Polki. Nóżki w gipsie, maseczka z tlenem zakrywała prawie całą buzię.



Jednak spojrzał na mnie przytomnie, mądrze, z jakąś determinacją małego brzdąca, który postanowił żyć. Na przekór i wbrew.

Zero kontroli nad życiem i śmiercią? Tym razem lekcja dla lekarzy, nie dla mnie. Swoją odrobiłam. Wtedy tylko ja w to uwierzyłam. W Piętaszka i w cuda.

Jagienka. Moja miłość od pierwszego spotkania. Choroba objawiła się postępującą deformacją kręgosłupa, a ucisk kości na płuca utrudniał oddychanie. Pomagaliśmy zbierać pieniądze na leczenie i rehabilitację. Towarzyszymy Jej od 6 lat, a ja wciąż wierzę w cud i medycynę.

Kubuś, chłopiec z połową serca pękniętego na milion kawałków. Mama zostawiła go zaraz po urodzeniu. Potem była rodzina zastępcza, gdzie był bity, poniżany, a po 10 latach oddany. To dla niego w 2020 roku powstała nasza fundacja – córeczka Moje



Drzewko Pomarańczowe. Zamieszkał i zmarł w tym niezwykłym domu, w którym miał swoje upragnione kaktusy.

Dwaj Alankowie. **Obaj – co należy uznać za cud – znaleźli kochające rodziny zastępcze.** W przypadku tak chorych dzieci to naprawdę rzadko się zdarza.

Gaja urodziła się bez rąk i bez nogi. Równieśnica mojego syna Gajusza, z którym się zaprzyjaźniła. Podobnie jak on skończyła wymarzone studia i znalazła świetną pracę. Tak jak poradziła Jej mama – uczyła się, bo rękami na życie nie zarobi. Cudowny dystans do wyroków losu!

Karolek o chińskich korzeniach, dla którego – zgodnie z tradycją Jego przodków – wybrałam mleczne imię. **Bao znaczy Skarb.** I właśnie takim skarbem stał się dla swojej rodziny adopcyjnej. Mimo nieuleczalnej choroby i buzi podobnej do bohatera filmu

„Cudowny chłopiec”, wspaniale się rozwija, mając kochających rodziców i dwie siostry.

Oskarek mały i duży, Patrycja, Klaudia, Krystian, Ola, Madzia, Anastazja, Aniceta, Wiktoria, Kuba, Igor, Klaudia, Ala, Kamilka, Michał, Tycuś...

Fundacja Gajusz powstała z myślą o moim synu i Paulince, o innych, nieznanach mi jeszcze, wyobrażonych dzieciach. **Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, jak ważni będą dorośli, moi współpracownicy.** Że pracy z Nimi, dla Nich, dbania o Nich dopiero przyjdzie mi się uczyć. Zrozumieć, że kluczem do pomagania dzieciom są właśnie Oni.

Pod opieką fundacji dziś jest prawie 1300 dzieci, a na ich rzecz pracuje 170 osób. Kilka jest ze mną prawie od początku (we współpracy z nimi powstał artykuł „Wszystkie dzieci Gajusza”). Pozostałe dołączały przez kolejne lata.

* Dla dziecka w jej wieku norma to 5–15,5 tys./µl.



To oni są sercem, mózgiem i rękoma fundacji. Dziś sama nic bym nie zrobiła, nikomu nie pomogła, nikogo nie uratowała. Dlatego dziękuję Dorosłym Ludziom Gajusza. Drodzy i Kochani, jestem ogromnie wdzięczna, że pracujemy razem dla Gajuszatek.

Szczególnie doceniam Zarząd, czyli moje dwie Anie. Za pracowitość codzienną, odpowiedzialność, cierpliwość, oddanie, zrozumienie i nieustającą, nieprzerwaną, wspólną naukę, bo fundacja rośnie – z Czyjaś pomocą – szybciej od nas. Wszystkie trzy rozumiemy, że za dzieci odpowiadają dorośli. I że to od nich zależy cała pomoc.

Dziękuję Sile Najwyższej za te wszystkie lata i znów, jak każdego dnia, proszę o opiekę na te, które nadejdą.

Kto ratuje jedno dziecko, ten ratuje cały świat.

Samotność nie jest dla dzieci.

Wszystko jest możliwe.

Nadzieja umiera ostatnia.

Miłość jest nieśmiertelna.

Chore dzieci nie powinny być same...

To ważne hasła, które zamieniamy całodobowo w rzeczywistość i pomoc.

Czego życzę fundacji? Na urodziny i wszystkie lata, które nadejdą? Dużo sił i pieniędzy, bo resztę chyba mamy: niezwykłych Ludzi i opiekę Siły Najwyższej. Ale najbardziej chcę pokoju na świecie. Bo przecież cuda się zdarzają.



Vasa Barwiche Kuśtrowska

Prezes Zarządu Fundacji Gajusz

Kwartal myśli

25 lat

W tym numerze

Pytam Cię, Drogi Czytelniku, czy jest jakąkolwiek sztuką bycie odważnym, jeżeli nie odczuwa się lęku?

{TOVE JANSSON, „PAMIĘTNIKI TATUSIA MUMINKA”}

Arctyńca wydania

BRUNO NEUHAMER

Arctyńcą niniejszego wydania jest Bruno Neuhamer – ilustrator, rzeźbiarz, muralista. Uczestnik wystaw. Laureat kilku nagród.

Jego piękne ilustracje zdobiące nasz zimowy kwartalnik nie są przypadkowe. Stanowią one fragmenty murala, który wiosną 2023 Bruno Neuhamer stworzy przy ulicy Wilczej w Warszawie. Powstanie tego dzieła będzie artystycznym elementem obchodów 25 lat działalności Fundacji Gajusz, stanowiąc jednocześnie efekt spojrzenia wybitnego artysty na zagadnienie odchodzenia chorych dzieci. Przechodzenia „na drugą stronę” w towarzystwie magicznej nadziei.

- 4 | **Totus Tuus**
Słowa pomagają
- 6 | **Setna adopcja**
Słowa pomagają
- 8 | **Życie mamie ustawiłem**
Historia Gajusza
- 14 | **Jak to było**
Kalendarium
- 16 | **Wszystkie dzieci Gajusza**
Historie dzieci
- 23 | **Polecamy**
Polecamy firmy więcej niż godne polecenia
- 24 | **Dobro*Byty**
W firmach, ludziach cud ukryty



FUNDACJA GAJUSZ

93-271 Łódź, ul. Jarosława Dąbrowskiego 87
+48 42 631 00 41 • godz. pracy pn.–pt. 9:00–17:00
biuro@gajusz.org.pl • www.gajusz.org.pl
NIP 725 16 57 818 • KRS 0000 109 866
nr konta 76 1240 6960 7390 0003 0000 0000
fot. Agnieszka Bohdanowicz, Fundacja Gajusz,
freeimages.com • proj. graf. Michał Poniedziałski
skład Karol Belina-Brzozowski
druk Arsa – Pasja i Kolor (arsa.net.pl)

Słowa pomagają

Dziękujemy dziennikarzom, którzy wspierają nas i pomagają trafić z informacją do czytelników. Mamy dowody na to, że słowo pisane ma ogromną moc.

Totus Tuus

Anna Gronczewska, „Dziennik Łódzki”, 22 października 2022

Fundacja Gajusz otrzymała nagrodę Totus Tuus przyznaną przez Fundację Nowego Tysiąclecia. Spodziewała się pani takiego wyróżnienia?

Na pewno nie. Ja jestem człowiekiem pracy, mało wychodzę poza fundację, swoje obowiązki. Niedawno dowiedziałam się, że to katolicki Nobel. To nagroda, którą dzielę się ze swoimi pracownikami. Z każdą osobą, która w Fundacji Gajusz pracuje. Dla mnie jest 170 laureatów tej nagrody.

Iloma dziećmi przez te niemal ćwierć wieku działania fundacji się opiekowaliście?

Nie potrafię tego policzyć. Teraz rocznie mamy ponad 1200 podopiecznych. Pracuje z nimi 170 osób. Do tego współpracuje z nami ponad 300 wolontariuszy. Prowadzimy trzy hospicja: domowe, stacjonarne i perinatalne. Mamy też Interwencyjny Ośrodek Preadopcyjny Tuli Luli, Centrum Terapii Cukinia. Zajmujemy się dziećmi w trakcie i po leczeniu onkologicznym,

rodzeństwem chorych dzieci. Mamy też dział prawny dla podopiecznych, który pomaga w rozwiązywaniu różnych życiowych spraw.

Kiedy zakładała pani Gajusza myślała pani, że będzie wyglądała tak jak dzisiaj?

Nie! Ostatnio rozmawiałam o tym z moim synem Gajuszem, dzięki któremu powstała fundacja. W pierwszym roku jej działalności pod naszą opieką było kilkanaścioro dzieci. Nasz budżet wynosił 14 tysięcy złotych. Zaczynaliśmy w piwniczce przy al. Anstadta, która miała 27 metrów kwadratowych. Dzisiaj nasze wszystkie lokale liczą ponad 2700 metrów kwadratowych i mamy ponad 1200 dzieci pod opieką. Poza tym mamy bardzo małą administrację. Zarząd nie zatrudnia żadnej asystentki. Większość rzeczy robimy sami.

Jesteście dziś jedną z najbardziej znanych fundacji...

Jeśli chodzi o liczbę podopiecznych, to wydaje się, że trudno by było znaleźć inną fundację, która zajmuje się taką ilością spraw i osób. Nie mówię tu o budżecie.

Czego wam dalej życzyć?

Miłości i pieniędzy. By nigdy nam tego nie zabrakło. To miłość w ekstremalnych warunkach, ale bez pieniędzy nie zrobilibyśmy nic dla tych dzieci ■



Słowa pomagają

Dziękujemy
dziennikarzom,
którzy wspierają
nas i pomagają trafić
z informacją
do czytelników.
Mamy dowody na to,
że słowo pisane
ma ogromną moc.

Setna adopcja

Agnieszka Jedlińska, „Express Ilustrowany”, 28 sierpnia 2022

W Tuli Luli Fundacji Gajusz w Łodzi świętowano setną adopcję.
W placówce na rodziców czeka jeszcze 19 maluszków

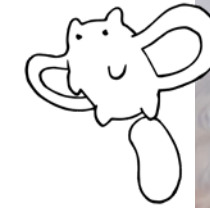
10-miesięczny chłopczyk, Tuliś z Ośrodka Preadopcyjnego Tuli Luli Fundacji Gajusz, pojechał do swojego prawdziwego domu z mamą i tatą. Na adopcję czekał w placówce niemal 9 miesięcy. Jest setnym podopiecznym fundacji, który ma już rodzinę. Na adopcję nadal czeka 19 niemowląt.

Przez sześć lat utuliliśmy 156 maluszków, spośród nich aż jedenaścioro powróciło do rodzin biologicznych i to jest wielka radość dla nas wszystkich, bo starali się o to prawnicy, opiekunowie, specjaliści, wychowawcy. To jest wielkie szczęście, że dzieci mogą wrócić do biologicznych rodzin, bo tam jest ich miejsce, tam powinny być, ale nie zawsze to się udaje – mówi Dorota Grodzka, dyrektor ośrodka Tuli Luli.

Dzieci mogą w nim przebywać do ukończenia pierwszego roku życia. Dzięki staraniom kierownictwa żaden maluch nie został przeniesiony do instytucjonalnej pieczy

zastępczej (ani do DPS-u, ani do domu dziecka). Pod opieką placówki są też dzieci, które z powodu swoich różnych obciążeń zdrowotnych nie mogą znaleźć rodzin adopcyjnych, wtedy Fundacja Gajusz pomaga w znalezieniu rodziny zastępczej.

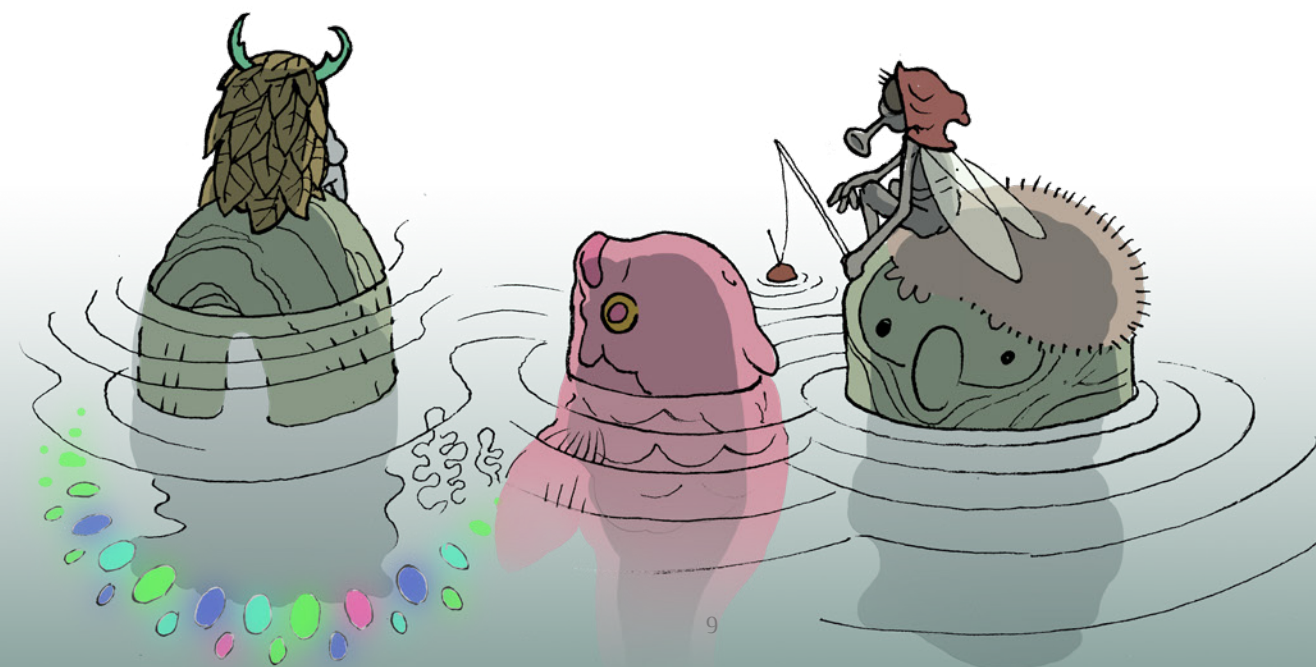
To jest dla mnie wielka duma, że do tej pory nie zdarzyło się, żebyśmy dla tak chorego Tulsia nie znaleźli rodziny zastępczej. Aż czworo dzieci zmarło, jeden był mi szczególnie bliski, ale rodzina zastępcza, która się nim zajęła, pół roku później zdecydowała się przyjąć do swojego domu innego ciężko chorego Tulsia – Hannę – opowiada Tisa Żawrocka-Kwiatkowska, prezes Fundacji Gajusz. ■



Karolina Tatarzyńska

Życie mamie ustawilem

25 lat





– Gdyby to była kwestia wychowania, to powinienem być podręcznikowym pracownikiem branży charytatywnej. Ale tak nie jest. Mogę być za to nadzieją dla rodzin chorych dzieci. Dowodem na to, że da się wyjść z ciężkiej choroby i mieć normalne życie.

Karolina Tatarzyńska: Fundacja Gajusz powstała dzięki tobie i twojej chorobie. Kiedy zacząłeś kojarzyć, że mama robi coś ważnego?

Gajusz Kwiatkowski: – Dla rodziców moja choroba pewnie była mocno stresująca. Ale mnie w żaden sposób nie obciążała. Nie zostawiła po sobie blizn ani żadnych śladów, jeśli nie liczyć samej fundacji. Jako przedszkolak wciąż nie zdawałem sobie sprawy z powagi sytuacji, w jakiej znalazłem się, gdy miałem kilka miesięcy. Byłem na to zbyt niedojrzały intelektualnie i emocjonalnie. Mówili mi, że fundacja

nazywa się Gajusz, bo byłem ciężko chory. Dla mnie jako dziecka to w ogóle nie było ważne. To, że mama jest prezesem fundacji, też wydawało mi się całkiem naturalne, bo w takim domu się wychowałem. Tak jakbym był dzieckiem polityka czy policjanta. Mama chodziła do pracy i wracała z pracy. A żyło nam się na tyle komfortowo, że nikt z nas nie dopytywał o szczegóły. Nigdy się nie czeptałem zawodowych wyborów rodziców. Bo miałem dobre i wygodne życie. Tak to wszystko organizowali, żebyśmy mieli fajnie.

Pamiętasz pierwsze zetknięcie z hospicjum i ciężko chorymi dziećmi?

– Na pewno to dzięki fundacji poznałem Gaję, moją rówieśniczkę, która urodziła się bez rąk i nóg. Miałem wówczas może osiem albo dziewięć lat. Przez długi czas spotykaliśmy się prywatnie także z rodziną Julka z kampanii „Nic mi nie jest. Po prostu miałem raka”. On poważnie chorował w wieku niemowlęcym, podobnie jak ja. Świetny gość. A później, może jako 12-latek, poznałem Patryka, który z powodu choroby miał na całym ciele otwierające się rany. Czy się tego przestraszyłem? Nie pamiętam. Raczej dość szybko przyzwyczaiłem się do faktu, że takie choroby istnieją. I dzięki temu stosunkowo wcześniej zrozumiałem, że mam wielkie szczęście, bo jestem już zdrowy. A inni mieli pecha i zachorowali dużo ciężiej niż ja.

Czyli byłeś dzieckiem zadowolonym z życia?

– Chyba nie do końca... Jako nastolatek zachowywałem się wyjątkowo niegrzecznie. Byłem wredny, zrzędlawy i nic mi się nie podobało.

Na szczęście wyrosłem z tego, więc to raczej nie były cechy mojej osobowości. Uważam, że przez moje ówczesne zachowanie wielu ludzi miałyby prawo nie lubić mnie do dziś. Gdybym poznał takiego małego chama, jakim byłem, to rozważyłbym, czy w ogóle chcę mieć dzieci. Nastolatki w wieku gimnazjalnym mają poczucie, że świat dookoła jest straszny, a oni tacy wyjątkowi i wszystko wiedzą najlepiej. Akurat gdy ja wpadłem w ten stan, to starszy ode mnie o cztery lata Julek powoli już z niego wychodził. A Basia, od Julka starsza o kolejne dwa lata, miała to za sobą. No a później przeżywał to jeszcze Natan. W każ-



dym razie zwykle mieliśmy w domu dwie osoby z tą przypadłością, co prowadziło do wielu kłótni. Dobrze, że mama nie wypychała się z butami w nasze życie. Może to wynikało z tego, że miała się czym zająć zawodowo. I że praca dawała jej satysfakcję. Być może jak rodzice nie mają swojej pasji, to wchodzi dzieciom na głowę. A u nas był zdrowy balans.

Rodzice wybrali dla ciebie rzadko spotykane imię. Skąd ten pomysł?

– Ponoć otworzyli kalendarz i akurat Gajusz im się spodobał. Dość szybko zacząłem zauważać, że mam nietypowe imię. I nawet mi to przeszkadzało. Pamiętam, że dopytywałem w domu, czy mógłbym je zmienić.

Do nazwy fundacji świetnie pasuje. Gdybyś miał na imię, dajmy na to, Piotr, to organizacja kiepsko by na tym wyszła. Fundacja Piotr. To nie brzmi.

– Rzeczywiście i imię, i nazwa są na tyle niedzienne, że sporo osób nie wie, co było pierwsze. Często mnie pytają, czy najpierw była

na. Istnieje już od prawie 25 lat i stworzyła wiele mocnych kampanii społecznych. Gajusz kojarzy się z czymś dobrym, a to na pewno pomaga mi w komunikacji. W branży prawniczej, w której pracuję, często zagadują mnie o to łódzcy prawnicy. Ale gdy jestem w Warszawie, to moje imię już nie jest takie oczywiste. Dopytują „Mariusz? Dariusz?”. Wtedy muszę opowiadać wszystko od początku. Że matka wcale nie jest świrnięta i nie chciała sobie wychować rozpuszczonego dziecka, tylko po prostu ma wyobraźnię. ►

fundacja, czy moje imię. W Łodzi większość ludzi, których spotykam, łączy moje imię z fundacją. Jest przecież bardzo rozpoznawal-



Koleżankom w liceum imponowałeś swoją historią i fundacją?

– Raczej nie, bo ludzi w tym wieku nie obchodzi, co robią ich rodzice. No, chyba że jest się dzieckiem gwiazdy lub piłkarza. W liceum liczy się bardziej to, czy ktoś jest wysportowany albo czy umie się dobrze bawić na imprezach. A ja sportowo byłem ciamajdą. I to jest mój zarzut wobec mamy, która z bliżej nieokreślonych powodów nie znosi sportu i wszystkie te uprzedzenia przelała na mnie i moje rodzeństwo. Przegapiłem cały okres, gdy młody człowiek buduje swoją siłę fizyczną i ćwiczy koordynację. Zemściło się to na mnie zwłaszcza wtedy, gdy pewnego lata urosłem 10 cm. A WF w szkole to może wystarczyć jedynie do tego, by nie stać się inwalidą. Tak więc przez długie lata miałem zerową koordynację. Dopiero jak mnie pobili na ulicy, to zacząłem trenować krav magę. A jakiś czas temu moją pasją stały się tajski boks i strzelectwo. Ale czuję, że to wciąż jest nadrabianie zaległości.

Zawodowo zaległości raczej nie masz. Skończyłeś studia prawnicze i znalazłeś pracę w swoim zawodzie. I to jaką! Na Malcie. A mimo to zdecydowałeś się wrócić do Łodzi.

– Spędziłem na Malcie dziewięć miesięcy. A wcześniej mieszkałem przez cztery lata w Anglii, bo tam studiowałem i pracowałem



jako barman. Zagraniczne życie zabiło sporo moich łódzkich znajomości. Zniknąłem przecież na kilka ładnych lat. Ale mimo wszystko to w Łodzi mam rodzinę i znajomych. Dlatego przeprowadziłem się tu i pracuję zdalnie. Przez

W Łodzi większość ludzi, których spotykam, łączy moje imię z fundacją. Jest przecież bardzo rozpoznawalna. Istnieje już od prawie 25 lat i stworzyła wiele mocnych kampanii społecznych.

ten czas sporo się w Łodzi zmieniło na lepsze, ale to wciąż jest bardzo niebezpieczne miasto. Choćby dlatego warto trenować sporty walki. Żeby w razie czego móc zareagować.

Bywałeś wolontariuszem w fundacji mamy?

– To były raczej działania w stylu „Idź poprowadź, zagađaj, przynieś, wynieś, pomaluj”. Bardziej starałem się pomóc mamie niż samym podopiecznym. „Pomaluj poręczę w fundacji” traktowałem na równi z „zawieź coś do firmy taty”. Angażowałem się wtedy, gdy mnie o to prosili rodzice. Nie mógłbym nazwać tego wolontariatem, bo to by było niegrzeczne wobec wszystkich wolontariuszy, którzy regularnie pomagają chorym dzieciom z fundacyjnych hospicjów i z onkologii w szpitalu na Spornej.

Myślisz w ogóle o pracy w fundacji?

– Do takiej pracy trzeba mieć powołanie. A ja tego nie czuję. Większość osób z fundacji mamy robi to z serca, z poczucia misyjności. Moje potrzeby serca są w innych miejscach. Gdyby to była kwestia wychowania, to powinienem być podręcznikowym pracownikiem branży charytatywnej. Niektórzy zresztą tak

by mnie chcieli widzieć. Skoro wyzdrowiałem i powstała Fundacja Gajusz, to pewnie biegam i zmieniam pieluchy ciężko chorym dzieciom. A tak nie jest. Wspieram działania mamy, ale w inny sposób.

Alina Margolis-Edelman, wybitna lekarka, która ratowała dzieci w krajach ogarniętych wojnami, mawiała, że pomaganie uratowało ją samą, że ona to zrobiła dla siebie i pewnie inni ludzie w organizacjach humanitarnych też robią to dla siebie.

– Chyba coś w tym jest. Ja również nie wierzę w prawdziwy altruizm. Poza tym uważam, że każda branża jest potrzebna, nie tylko pomocowa. Myślałem o założeniu NGOsa, ale nie charytatywnego, tylko raczej w nurcie społeczeństwa obywatelskiego. Swoją rolę w fundacji mamy widzę trochę inaczej. Towarzyszę jej podczas różnych oficjalnych imprez i mogę być nadzieją dla rodzin chorych dzieci. Dowodem na to, że da się wyjść z ciężkiej choroby i mieć normalne życie. Żeby pojawiła się myśl „może i nasze dziecko wyjdzie z tego i wyrośnie na takiego gościa jak Gajusz”.

Ponoć jakiś czas temu zażartowałeś w rozmowie z mamą, że niezłą fuchę jej załatwiłeś, bo nie umarłeś. A co, gdyby fundacja jednak nie powstała? Co by mama dziś robiła?

– Gdyby nie fundacja, to pewnie by pracowała w świecie filmowym. Kino to jej wielka miłość.

Zresztą skończyła filmoznawstwo, więc może by się w Szkole Filmowej zaczęła. Ale prawdą jest, że życie jej ustawiłem. Choć patrząc z drugiej strony, to wcale nie ma się z czego cieszyć. Bo przecież w Polsce mamy państwową służbę zdrowia. A fakt, że Fundacja Gajusz istnieje i jest potrzebna, to emanacja ogromnego problemu w całym systemie. ■



Gajusz Kwiatkowski (rocznik 1996) – gdy miał dziewięć dni, rodzice pojechali z nim „profilaktycznie” do szpitala, bo dziwnie się zakrzuszał i bardzo dużo spał. Okazało się, że jest w stanie ciężkim. Na oddziale spędzili ponad pół roku. Lekarze kazali przygotować starsze rodzeństwo na jego śmierć. To wtedy jego mama Tisa Żawrocka-Kwiatkowska obiecała, że założy fundację, jeśli jej dziecko nie umrze. Wyniki poprawiły się niemal od razu, a ona w rekordowym tempie stworzyła organizację, która miała sprawić, żeby żadne dziecko nie musiało umierać w samotności tak jak Paulinka z domu dziecka, która zmarła w szpitalnej sali obok Gajusza.



25 lat

Historia drużyny Gajusza

5704 Gajuszątka 1595 Wolontariuszy



1998

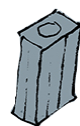
Pomoc wolontariuszy, wsparcie socjalnie i prawne na oddziałach onkologicznych



2002

Opieka psychologiczna dla dzieci walczących z nowotworem i ich rodzin

- 2590 Onkobohaterów
- ponad 50 000 porad psychologicznych



2005

Hospicjum domowe

- 384 Małych Pacjentów
- ponad 2 mln przejechanych kilometrów



2012

Program Rodzeństwa

- 92 siostr i braci
- Prawie 200 cudownych spotkań



2013

Hospicjum stacjonarne

- 133 Książąt
- 31634 osobodni opieki



2013

Hospicjum perinatalne

- 162 Okruszki
- 319 konsultacji lekarskich i psychologicznych



2016

Interwencyjny Ośrodek Preadopcyjny Tuli Luli

- 157 Tulisiów
- 18 284 słoiczki z niemowlęcym jedzonkiem



2018

Centrum Terapii i Pomocy Dziecku i Jego Rodzinie CUKINIA

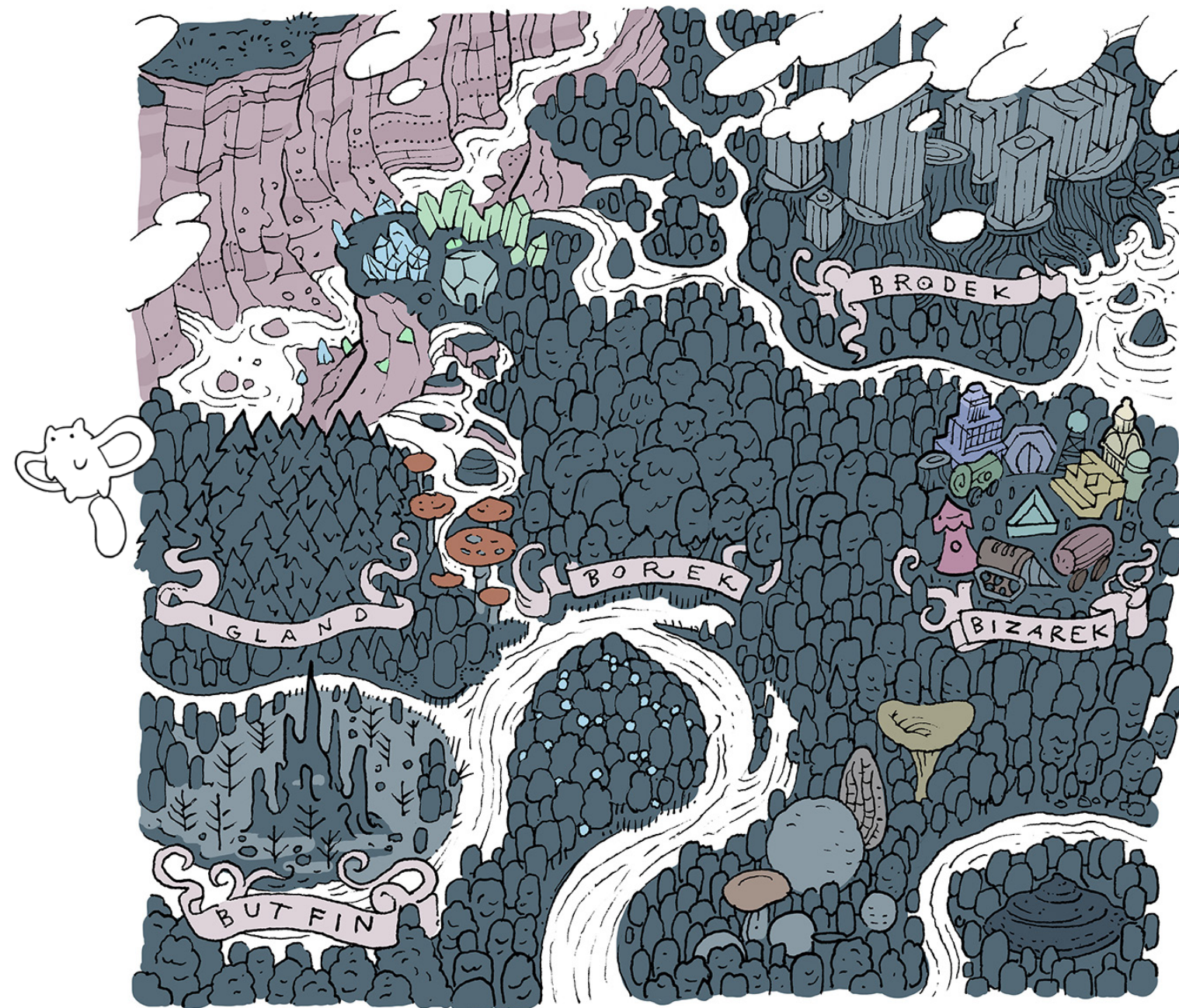
- 2138 Cukinek
- 25 897 godzin terapii



2019

Program OKNO – dla dzieci po leczeniu onkologicznym

- 40 Wojowników
- 470 wspólnie przeżytych godzin





25 lat

Blanka Rogowska

Wszystkie dzieci Gajusza



Życie to dar, za który trzeba dziękować

Wszystko zaczęło się od Gajusza. Urodził się 2 lipca 1996 roku. Mama – 26 lat i dwoje zdrowych dzieci. Nikt nie myślał, że tym razem będzie inaczej.

Gajusz

Diagnoza: wada szpiku kostnego. Nie wiadomo jakiej natury. Był zupełnie pozbawiony odporności, a jego życie zagrożone.

Mama Gajusza na krótką chwilę się załamała, potem zawzięta. Odkryła siły, o których nie wiedziała. Walczyła o dziecko. Pielęgnowała, całowała, wypatrywała każdego napięcia na twarzy.

Obok, zaraz przez ścianę, ze szpitalnej izolatki słyszała płacz. Przez szybę widziała małą

dziewczynkę. To Paulina z domu dziecka. Miała białaczkę. Cierpiała. Nikt jej nie odwiedzał. Nikt nie ocierał łez. – Łamało mi się serce, boniemogłam tam wejść. Chodziło o odporność Gajusza. Dla mnie to były tortury psychiczne, a co dopiero dla niej – wspomina Tisa Żawrocka-Kwiatkowska, mama Gajusza.

Wtedy złożyła Bogu obietnicę: – Tylko pomóż Gajuszowi, a zajmę się dziećmi takimi jak Paulinka. Żadne dziecko nie powinno być samo.

Gajusz wyzdrowiał.

W 1998 roku Tisa zarejestrowała Fundację Gajusz, którą kieruje od 25 lat.

Paulinka

Najpierw wolontariusze Gajusza pojawili się na oddziałach onkologii dziecięcej w Centralnym Szpitalu Klinicznym Uniwersytetu Medycznego przy ul. Spornej w Łodzi. Czytali książki, rozmawiali, organizowali zabawy z okazji Dnia Dziecka. Byli pomocą dla zmęczonych rodziców, ratunkiem dla dzieci, których nikt nie odwiedzał. Z czasem pojawili się arteterapeuci i Edek, lalka terapeutyczna. Żeby żadne dziecko nie cierpiało tak jak Paulinka.

Jak mówi dr Bogna Kędzierska, dyrektor ds. wsparcia psychologicznego i psychoterapii w Fundacji Gajusz, 25 lat temu w szpitalu przy ul. Spornej jeden psycholog miał pod opieką dzieci z oddziału diabetologicznego i dwóch oddziałów onkologicznych. – Wsparcie było

potrzebne – mówi dr Kędzierska, która wraz z fundacją uruchomiła program wsparcia psychologicznego na oddziałach onkologii szpitala. – To nie jest łatwy kawałek. Tu nie ma pacjenta i terapeuty, który go leczy. Bo tu nie ma nic do leczenia. Ludzie reagują jak najbardziej adekwatnie. Trudno sobie wyobrazić, żeby nie było cierpienia tam, gdzie jest sytuacja, która je przynosi. Potrzebujemy rozumiejącej i akceptującej obecności, gdy mierzymy się z tak granicznymi doświadczeniami. Wspieramy dzieci, rodziców, bliskich i personel medyczny. Każdego, kto potrzebuje – opowiada dr Kędzierska. ►





Patryk

Patryk miał pęcherzykę. Całe dotychczasowe dwuletnie życie mieszkał w szpitalu. Zmienia-
nie opatrunków było tak bolesne, że pięć razy
w ciągu dwóch lat poddano go narkozie. Był jedną
wielką raną. Odwiedzali go wolontariusze. Mama
mieszkała na wsi, miała więcej dzieci. Kochała
go, ale nie mogła być w szpitalu często. – Razem
z dr Małgorzatą Stolarską przekonaliśmy leka-
rzy, że Patryk może wrócić do domu, jeśli w tym
domu stworzyliby odpowiednie warunki,
a lekarz i pielęgniarki odwiedzaliby go regular-
nie – opowiada Tisa. Potrzebny był taki „szpital
na kołkach”.



Patryk był inspiracją do stworzenia hospicjum
domowego, dzięki któremu dzieci ostatnie mo-
menty życia mogą spędzić w domu, w swoim
pokoju, w ulubionej pościeli, z rodzicami, bliskimi
i ukochanym psem, a nie w szpitalnej sali.

– Kiedy ten pomysł dopiero kiełkował, do
dr Stolarskiej przyszedł młody chłopak, prak-
tykujący lekarz. Powiedział, że chciałby zało-
żyć fundację, która stworzy hospicjum domo-
we. Poznaliśmy się i uradziliśmy, że zrobimy
to razem – opowiada Tisa. Tym chłopakiem
był Łukasz Przysło, dzisiaj doktor nauk me-
dycznych, pediatra i neurolog, psychoonkolog.
Przez 10 lat pracował jako lekarz w hospicjum
domowym i stacjonarnym Fundacji Gajusz.
W tym czasie towarzyszył w umieraniu około
200 dzieciom.

– Gdy umiera pacjent, którym opiekowaliśmy się
przez kilka lat, to aż kipi od emocji. Nawiązują się
przecież przyjaźnie. Wiemy, co dzieje się w tych
rodzinach. Rozmowy toczą się tak zwyczajnie
przy herbach, kawie, obiedzie. I wcale nie dotyczą
choroby i umierania, tylko zwykłego życia – mówi
dr Przysło.

– W pierwszym okresie hospicjum domowe pro-
wadzone było przez lekarzy: dr Małgorzatę Sto-

larską, dr Aleksandra Korzeniewską-Eksterowicz
i dr. Przysło. To dzięki nim to wszystko się stało.
Patryk był pierwszym pacjentem. – mówi Tisa.

Zespół medyczny Gajusza od 2005 roku
codziennie odwiedza pacjentów z całego woje-
wództwa łódzkiego.

Dziewczynka ze złamanym sercem

W hospicjum domowym była dziewczyn-
ka. Cierpiąca, ale – jak mówili lekarze – mogła
mieć przed sobą jeszcze kilka dobrych lat życia.
Mama wykonywała najstarszy zawód świa-
ta. Często nie wpuszczając załogi hospicjum.
Klientów przyjmowała przy dziecku. – Ta dziew-
czyna była inteligentna, wszystko rozumiała.
Miała złamane serce i zaledwie 11 lat, gdy któregoś
dnia zmarła z powodu banalnej infekcji. Myślę,
że się po prostu poddała. Zostałam z pytaniem,
czy można było dla niej zrobić coś więcej – wspo-
mina Tisa. – Chciałam, żeby było miejsce, gdzie
takie dzieci można zabrać, żeby nie umierały
z poczuciem beznadziei.

Niedługo potem z domu zabrany został Patryk.
Pogorszyło się mu i rodzina przestała sobie ra-
dzić. Wystano go do hospicjum stacjonarnego
w Rzeszowie. Mama rozpaczła, że nie może go
często odwiedzać, że umrze sam. – Obiecałam,
że zrobię wszystko, żeby wrócił do Łodzi – mówi
Tisa. Gajusz dostał od miasta zrujnowany budy-
nek, który dzięki darczyńcom w 2013 roku zmienił
się w Pałac, czyli hospicjum stacjonarne dla dzieci.

– Zdążyliśmy. Patryk ostatnie sześć miesięcy
spędził w Pałacu. Umarł przy mnie. Pierwszą
przyjętą pacjentką była Kinga, drugi Piętaszek.
Rodzice ich odwiedzali i uczyli się opieki. Obydwój
wrócili do domu. Do Pałacu trafiały dzieci, których
rodzice z różnych powodów nie mogli się nimi za-
jąć. Niektóre były odwiedzane, inne zostały przez
rodziny opuszczone – mówi Tisa.



Mieszko

Do fundacji przyszło małżeństwo. Ona
w ciąży. Dowiedzieli się, że dziecko ma wadę
letalną, że nie ma szans na przeżycie. Wiedzieli,
że fundacja zajmuje się nieuleczalnie chorymi
dziećmi, i chcieli porozmawiać. – Nie mieliśmy
wcześniej takiego przypadku, ale w pięć minut
zorganizowaliśmy pomoc. Był sprzęt medyczny,
więc mogliśmy zrobić badania genetyczne.
Zajął się nimi psycholog, lekarz pediatra
z hospicjum odpowiedział na wszystkie pytania.
Towarzyszyliśmy im przy porodzie. Wiedzie-
liśmy, że może być tak, że chłopiec odejdzie
szybko, więc zorganizowaliśmy księdza, foto-
gra, psychologa, małe ubranka. Wszystko
tak, jak oni sami sobie życzyli – opowiada Tisa.

Mieszko żył jedną dobę. Ze zdjęć ze szpita-
la bije miłość i szczęście. – Byłam zdziwiona,
bo myślałam, że ten czas pożegnania rodziców
z dzieckiem będzie jednym wielkim dramatem.
A był po brzegi wypełniony czułością. Zdążyli
utulić Mieszka, przedstawić dziadkom, okazać
miłość. Wiedzieli, że mają dla niego nie kilka-
dziesiąt lat, a krótki moment – wspomina Tisa.

Do Gajusza dzwoniły kolejne rodziny. Przy-
chodziły dramatyczne wiadomości. Od kobiet,
które właśnie straciły dziecko, a zostały umiesz-
czone na sali poporodowej ze szczęśliwymi
matkami. Od przerażonych, które miały zaraz
urodzić śmiertelnie chore dziecko, a były same.
Od pacjentek, które lekarz nastraszył i nie po-
wiedział, co dalej.

W 2014 roku Gajusz otworzył hospicjum
perinatalne, które zajmuje się nienarodzonym
dzieckiem z wadą letalną i jego rodziną. Oferuje
pomoc lekarską, psychologiczną, asystę około-
porodową. Dzięki inicjatywie Gajusza w szpitalu
im. Rydygiera w Łodzi powstał pokój pożegnań. ▶



Ciało pamięta porzucenie

Rok 2015. Fundacja kończyła 18 lat. – I Gajusz był już pełnoletni. Pomyślałam sobie wtedy, że fundacja zatoczyła koło. Moje myśli znowu biegły do Paulinki, dziewczynki z izolátky, która cierpiała w samotności, gdy Gajusz chorował – opowiada Tisa. Wtedy zadzwoniła dr Kędzierska.

– Dowiedziałam się, jak wygląda opieka nad niemowlętami, które zostają pozostawione w szpitalach. Choćby personel domu dziecka był ze złota, nie mógł poświęcać tyle indywidualnej uwagi niemowlęciu, by uchronić je przed

traumą. A konsekwencje traumy dla dopiero kształtującego się mózgu i układu nerwowego mogą być koszmarnie. Wczesne doświadczenia są kluczowe – mówi dr Kędzierska.

Najpierw niemowlę leżało samo w szpitalu. Potem trafiło do placówki, gdzie zdane było na opiekunkę, która zajmowała się kilkanaściorcem dzieci. Twarze nad bobasem zmieniały się szybko. Przyzwyczajony, że nikt nie przychodzi, gdy płacze, cichł. Brak dotyku i czułości wpędzał w chorobę sierocą. Ciało zapamiętuje porzucenie. Niedotykane przez kluczowe pierwsze miesiące ucieka w próżnię.

Psycholog Jolanta Kałużna już od pewnego czasu przygotowywała model miejsca, które zmniejszałoby ryzyko traumy w czasie, gdy mały człowiek czeka na rodziców adopcyjnych.

Tisa nie wahala się

W 2016 roku powstał Interwencyjny Ośrodek Preadopcyjny Tuli Luli. – Byliśmy drugim takim miejscem w Polsce i pierwszym, które działało niezależnie od szpitala. Są tu dzieci, które mają



mniej niż 12 miesięcy i czekają na rodziców adopcyjnych lub zastępczych – tłumaczy dr Kędzierska.

Opiekunki, terapeuci i wolontariuszki całymi dniami przytulają, bujają, mizają, stymulują rozwój. Niemowlę ma czuć, że jest najważniejsze. Jeden z darczyńców wyfrezował na ramach łóżeczek: „Bo będę ryczeć!” i „Kiedy dziecko się śmieje, śmieje się cały świat”.

Kuba

– To była seria złych wiadomości, które przyszły w krótkim czasie. Zgwałcony chłopiec, dziewczynka po próbie samobójczej, chłopak, który był świadkiem, jak mama próbuje zabić jego siostrę, dziewczyna, która była świadkiem morderstwa mamy – wspomina Tisa. – Próbowaliśmy znaleźć pomoc specjalistyczną i okazało się, że jej tak z dnia na dzień nie ma. Zebrałyśmy się z zarządem i uradziliśmy, że trzeba założyć poradnię dla dzieci po traumach, takich w najtrudniejszych sytuacjach.

W 2018 roku powstało Centrum Terapii i Pomocy Dziecku i Jego Rodzinie Cukinia. Pracują tu psychoterapeuci, fizjoterapeuci, terapeuci zajęciowi, logopeda, prawnik.

Do Cukinii trafił Kuba, chłopiec z połową serca. W dodatku pękniętego na milion kawałków. Mama zostawiła go zaraz po urodzeniu. Pierwsze miesiące spędził w szpitalu. Potem była rodzina zastępcza, gdzie był bity, poniżany, a po 10 latach oddany. W liście do sądu rodzice zastępczy napisali, że „na zawsze”. Kuba chciał cofnąć swoje życie. Prawie udało mu się umrzeć. Mówił, że wielka szkoda, że prawie. Zaraz po nim w Cukinii pojawiły się siostry: 3- i 6-latką. Obie były wykorzystywane seksualnie. Dzieci zmagaly się z traumą, traciły kontrolę, miały napady lękowe.

– Wiedzieliśmy, że dom dziecka to nie jest miejsce dla nich. Znaleźć rodzinę zastępczą, która na pewno podoła, wcale nie jest łatwo. Kuba powtarzał, że chciałby mieć dom, w którym wreszcie mógłby mieć kaktusy – mówi Tisa.

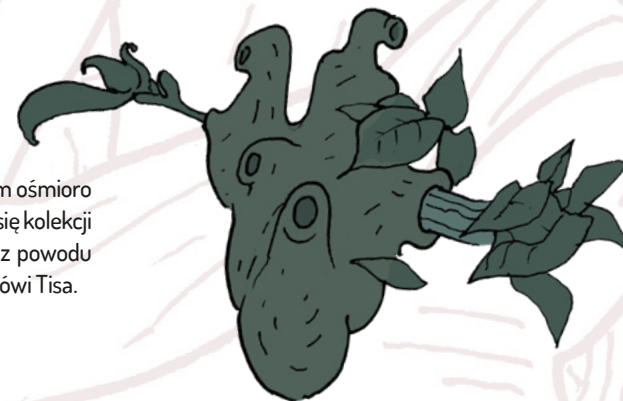
W 2020 roku powstała wspierana przez Gajusza Fundacja Moje Drzewko Pomarańczowe, która otworzyła dom dziecka dla dzieci w naj-

trudniejszej sytuacji. Zamieszkało tam ośmioro dzieci. – W tym Kuba, który doczekał się kolekcji kaktusów i paczki przyjaciół. Zmarł z powodu wady serca trzy miesiące później – mówi Tisa.

Hania i Janek

– Pamiętam małego chłopca. Miał może z 7 lat. Powiedział bez cienia pretensji, tak zwyczajnie, że jego życie zacznie się dopiero, gdy jego siostra umrze – opowiada Gabriela Halakiewicz, koordynatorka wolontariuszy fundacji. Gdy dziecko choruje, rodzice pobiegliby na koniec świata, by je ratować. I zdrowe rodzeństwo zostaje trochę z boku. Plany uzależnione są od rytmu dnia, który kręci się wokół choroby. 6-latkia Hania wie, jak obsługiwać koncentrator tlenu. Codziennie pomaga zajmować się starszym bratem. 5-latkia Ania spędza większość czasu z babcią, bo mama jest z drugim dzieckiem w szpitalu. Janek ma 12 lat. Rodzice pozwolili mu wybrać trumnę dla 3-latniej siostry.

– Takich historii było dużo. Dlatego w 2012 roku powstał Program Rodzeństwa dla sióstr i braci



dzieci chorych – mówi Halakiewicz. Zespół Gajusza dzieci rozpieszcza i wspiera. Zabiera na wycieczki i kolonie, pomaga w lekcjach, prowadzi terapię. – To, że dziecko może poznać rówieśnika, który jest w podobnej sytuacji, dużo mu daje – dodaje Gabriela.

Okna

Małgorzata Kania, z Gajuszem związana od 2014 roku, na początku była wolontariuszem na oddziale onkologii. Prowadziła zajęcia plastyczne. – Był wieczór. Życie na oddziale zwalniało. Rozmawialiśmy. Z opowieści rodziców wynikało, że dzieci w chorobie zaczęły inaczej funkcjonować. Nic dziwnego, bo to nie była normalna sytuacja – opowiada.

– Gdy dziecko choruje, cały świat wywraca się do góry nogami. Nie chodzi do szkoły, ma ograniczony kontakt z kolegami, nie wychodzi na dwór. Gdy rokowania są złe, rodzice czasem uznają, że to nie jest czas na wychowywanie, a na całkowicie uzasadnione rozpieszczanie – opowiada Kania. Gdy rodzina ma wrócić do normalności okazuje się, że wszystko trzeba poukładać od nowa. ►



– Pamiętam jednego chłopca, który zabronił mówić komukolwiek, że choruje. Łączył się z kolegami i kłamał, że jest u babci, zakrywał łusą głowę kapturem. Inne dzieci w ogóle straciły kontakt z rówieśnikami – mówi Kania. – Czasem, gdy już wychodzi się z choroby, jest taki moment, gdy rodzice uświadamiają sobie, że pozwolili na za dużo. Zaczynają się zastanawiać, co dalej, czy dadzą sobie radę. Któregoś wieczoru padło pytanie: a co, gdybyśmy mogli się spotykać jeszcze po zakończeniu leczenia?

W 2019 roku ruszyła pierwsza grupa Programu OKNO Rodziny spotykają się dwa razy w miesiącu. – Czasem widać, że rodzice potrzebują tego bardziej. Chłopiec, który pokonał chorobę, opowiadał mi o swoich planach. Miał ich tyle, że starczyłoby na cały rok. Okazało się, że mama, która kilka lat walczyła, żeby żył, ma teraz w sobie tyle lęków, że boi się go nawet wypuścić z domu. Wszystkich otaczamy opieką – opowiada Kania.

Z wdzięczności za dzieci

Opowieść o Gajuszu mogłabym ciągnąć w nieskończoność. O tym, jak załoga pomagała w Mołdawi, Armenii, Gruzji, jak w pierwszych dniach wojny wywiozła dzieci z ukraińskiej wsi. O założdce Gajusza, która bierze dzieci w ramiona, by nie umierały samotnie. O uchodź-

cach z Czeczenii i Ukrainy i bezdomnej rodzinie z chorymi dziećmi, którym fundacja udzieliła schronienia. O tym, jak Bao, z buzią podobną do bohatera filmu „Cudowny chłopiec”, znalazł kochających rodziców. O Jagience, Piotrusiu, Emilku, Maćku, Gabrysii i wszystkich dzieciach.

– Gajusz, mój syn, niedawno zapytał, jak zmieniła się fundacja. Gdy zaczynaliśmy, mieliśmy 27 m² w piwnicy, roczny budżet 14 tys. zł, 10 podopiecznych, dwie zatrudnione osoby, garstkę wolontariuszy. I w sumie w krótkim czasie to zostało pomnożone razy sto. Bo teraz mamy pod opieką 1280 dzieci. Powierzchnia w dwóch lokalizacjach to łącznie to ok. 2700 m². My, dziewczyny z zarządu, miałyśmy często wrażenie, że fundacja rośnie szybciej niż my. Stale musimy się uczyć. Ale dałyśmy radę. Nie było wyjścia – mówi Tisa.

W 2023 roku fundacja Gajusz kończy 25 lat, a Gajusz, od którego wszystko się zaczęło, 27.

– Przez ten czas opanowałam do perfekcji sztukę doceniania i wdzięczności – mówi Tisa. – To nie jest prawda, że nam się coś należy, że to oczywiste, że dziecko jest zdrowe, że są z nami zawsze, że wszystko jest dobrze. To dar, za który trzeba dziękować. ■



Delia Cosmetics

delia.pl

Delia Cosmetics to rodzinna firma, która stała się marką rozpoznawalną na całym świecie. Jej kosmetyki dostępne są już w 90 krajach! Jest też rówieśnicą Fundacji Gajusz :) Może to dlatego tak świetnie się rozumiemy? Założyciele i pracownicy Delia Cosmetics to ludzie o ogromnej wrażliwości. Przez cały rok pamiętają o naszych podopiecznych i ich rodzinach. Z okazji świąt obdarowali mamy Gajuszątek cudnymi podarkami.

Delia
COSMETICS

Pharmena

pharmena.eu

Cieszy nas, że wśród Darczyńców mamy firmę, która przykładą ogromną wagę do jakości i bezpieczeństwa swoich produktów. W ofercie znajdują się m.in. produkty Dermena przeznaczone do pielęgnacji włosów, skóry, paznokci oraz rzęs. Wieloletnie doświadczenie, skuteczność potwierdzona badaniami i liczne pozytywne opinie użytkowników sprawiły, że obecnie Dermena jest jedną z wiodących marek w kategorii preparatów do pielęgnacji włosów.

Produkty Dermena oznaczone logo Fundacji Gajusz wspierają Gajuszątkę. Dziękujemy!

pharmena

Fundacja ING Dzieciom

ingdzieciom.pl

Fundacja ING wspiera dzieci i młodzież w odkrywaniu świata oraz własnych możliwości. Dodaje im odwagi w podejmowaniu kolejnych wyzwań, realizacji marzeń, wyrównywaniu szans edukacyjnych czy społecznych.

W szczególny sposób, dzięki zaangażowaniu pracowników ING, postanowiła wesprzeć Gajuszątkę, które wygrały lub wciąż walczą z rakiem. Dzięki temu nasi Onkobohaterowie dostaną taką pomoc, jakiej potrzebują. Będą się rozwijać dzięki warsztatom twórczym, świetnie bawić i dbać o emocje przy wsparciu psychologów.

**Fundacja
ING
Dzieciom**

Amazon

amazon.com

Amazon tworzą ludzie z pasją i sercem. O Gajuszątkę troszczą się od kilku lat. Tym razem w ramach „Amazon Goes Gold for kids with cancer” w sposób szczególnie zadbali o potrzeby naszych onkobohaterów. A na święta dodatkowo obsypią maluchy wymarzonymi podarunkami!

Dzięki takim osobom i firmom – zaangażowanym społecznie, chętnym nieść pomoc, gotowym ofiarować swój czas i pieniądze – czujemy, że nasze dzieci są bezpieczne. Dziękujemy!

amazon

JAK MOŻESZ NAM POMÓC?

WPŁACAJĄC DOWOLNĄ KWOTĘ NA NASZE KONTO BANKOWE:
76 1240 6960 7390 0003 0000 0000

..... LUB



**ZRÓB PRZELEW
ONLINE**

www.gajusz.org.pl

Zajrzyj na stronę i przekaz
dowolną kwotę.



**ZAPROŚ NAS
NA ŚLUB**

+48 727 001 001

Zakochane Pary, poproście
swoich ślubnych gości
o darowiznę zamiast kwiatów
– nasi wolontariusze są
do Waszej dyspozycji.



**ZOSTAŃ PARTNEREM
BIZNESOWYM**

+48 697 789 924

Pomóż nam
sprawiać radość
podopiecznym Gajusza.
Dołącz do grona
Firm z Sercem.



**ZOSTAŃ
WOLONTARIUSZEM**

+48 697 789 920

Podaruj nam i naszym
podopiecznym coś
bardzo, bardzo
cennego – Twój czas.

PAMIĘTAJ O NAS, ROZLICZAJĄC PIT

KRS 0000 109 866

